№ 23. Warszawa, dnia 28 Maja (9 Czerwca) 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalne, rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

ODILA.

LEGENDA ALZACKA

NAPISAŁA

W. Ł. z R. J.

Za czasów króla Childeryka II, około roku 670 Atalric był księciem Alzacyi.

Przebywał on czasowo to w zamku swym Obernai to w Alitonie, obronnym zamczysku rzymskim, zbudowanym na wierzchołku góry w miejscu starożytnego sanktuaryum Gallijskiego. Monarcha ten, o gwałtownym i okrutnym charakterze, miał za żonę siostrę biskupa, pobożną Bereświndę.

Od dawna małżonkowie oczekiwali potomka, gdy księżna powiła wreszcie córkę niewidomą.

Atalric rozgniewany tym mocno, chciał zabić dziecię.

— Widzę, żem zgrzeszył ciężko przeciw Bogu— wołał — gdy mnie nawiedza tak sromotną hańbą, jaka nie dotknęła żadnego z moim poprzedników.

— Nie smuć się—odrzekła Bereświnda—wszak Chrystus rzekł do ślepo urodzonego:

„Nie przyszedł on na świat ślepym z winy ojców swoich lecz dlatego, by chwała Boża ukazała się nad nim.”

Słowa te nie zdołały jednak złagodzić gniewu księcia.

— Uczyń, aby to dziecię niewidome — rzekł do niej — zostało zabitem przez jednego z dworzan, lub niech je uniosą daleko, abym o nim zapomniał zupełnie, inaczej, nie ma dla mnie spokoju na ziemi.

Słowa te, przeraziły Bereświndę, przypomniawszy jednak sobie o swej słudze wiernej, oddała jej ślepą swą córkę, a poleciwszy dziecię Bogu, prosiła kobiety by je zaniosła do pewnego klasztoru w Burgundyi.

Wkrótce przybył tam biskup, by ochrzcić dziecię przez klasztor przyjęte. A gdy lał wodę święconą na czoło maleńkiej, ta otworzywszy oczy barwy ametystowej wpatrywała się w biskupa jako by go znając.

Niewidoma, wzrok odzyskała.

Biskup nadał jej imię Odili, wołając radośnie:

— Dziecię ukochane! teraz pragnę cię widzieć szczęśliwą w życiu wiekuistem!

Odila zostawszy w klasztorze, była tamże wychowywaną przez dobroczynne niewiasty, szukając tam przed barbarzyńcami schronienia.

Rosła w samotni lasów, zaciszy klasztoru jak kwiat o świetnie błyszczącym kielichu.

Wyrosłszy w piękną dziewicę, wypadkiem dowiedziała się o swem urodzeniu, a zadziwiona tem niespodziewanem odkryciem, zapragnęła uścisnąć ojca, matka jej bowiem nie żyła już wtedy. Jakaż była jej radość, gdy powiedziano jej, że miała i brata, szlachetnego i wspaniałego młodzieńca: postanowiła bezzwłocznie napisać do niego z prośbą aby przybył.

Po otrzymaniu wieści od tej siostry nieznanej, która odwoływała się do uczuć jego, uważając w nim wybawiciela, Hugon zdjęty litością i uczuciem przywiązania prosił ojca o posłuchanie.

Na samo jednak wspomnienie Odili, Atalric zmarszczywszy brwi, nakazał milczeć synowi.

Użył przeto młodzian podstępu, by zjednać siostrze łaskę ojcowską. Posłał jej sekretnie orszak książęcy rozkazując przybyć w takowym do Alzacyi.

Gdy pewnego dnia, Atalric siedział w otoczeniu dworzan na tarasie Alitony, zamku stojącego na szczycie skały po nad głęboką przepaścią, ujrzał nagle drogą ku temuż posuwający się wóz, zdobny w zielone gałęzie i chorągiew książęcą: zwróciwszy się prosto do obecnych, zapytał:

— Któż to tak wspaniale do nas przybywa?

— Panie... to córka twoja, a moja siostra Odila — odpowiedział Hugon.

Na słowa te zerwał się blady z gniewu Atalric wołając:

— Kto się poważył ją tu zawezwać, bez mego rozkazu.

— Panie... to ja, zdjęty współczuciem dla tej nieszczęśliwej, zawołał młodzieniec, miej litość nad nią... łaski dla mej siostry, o panie!

Na słowa te uniesiony gniewem Atalric, uderzył syna berłem w głowę tak silnie, iż ten padł martwy bez życia. Spostrzegłszy to, zachwiał się w swej gwałtowności i wzruszony zawezwał córkę ku sobie.

Ożywił się zamek książęcy pobytem młodej i nadobnej dziewicy, ku której wnet konkurenci znaleźli się w znacznej liczbie. Wstręt jednak do wszelkich okazałości i zabaw opanował duszę Odili, przed której oczami jawiła się bezustannie postać w obronie jej poległego brata.

Postanowiła nigdy nie wyjść za mąż, które to postanowienie draźniło niesłychanie starego księcia.

Przyrzekł zmusić ją do zaślubienia jednego z niemieckich władzców kraju.

Powiadomiona o tem przez wierną sługę Odila, uciekła w nocy z ojcowskiego domu, za żebraczkę przebrana.

Minąwszy doliny, przepłynęła Ren, w łódzce rybaka i skryła się w góry. Wciąż uciekając, wyczerpana znużeniem dosięgła pustej i dzikiej doliny, w pobliżu Czarnego-lasu.

Noc zapadała, gdy usłyszała po za sobą tętent koni i szczęk zbroic. Pojęła, że to ojciec ją ścigał z książęciem za małżonka dla niej przeznaczonym.

Zebrawszy resztki sił, chciała się wdrapać na górę dla ukrycia, lecz padła na wpół omdlała u stóp skały.

Wtedy ogarniona rozpaczą, lecz pełna wiary żywej, wyciągnęła ręce ku niebu, wzywając dla siebie obrony ojca uciśnionych.

I oto skała rozwarłszy się nagle, przyjęła ją w swe łono i zamknęła się za nią.

Zdumiony Atalric przyzywał córki, obiecując jej wolność. Wtedy skała otwarła się nakształt jaskini i Odila ukazała się stojącemu orszakowi w blasku nieziemskiej piękności. Cała grota promieniała jasnością jaka od niej spływała, a dziewica oświadczyła głośno, że się na zawsze oddaje swemu niebieskiemu obrońcy i że jedynie w razie przyrzeczenia ojca, iż na nią o małżeństwo z księciem niemieckim nalegać nie będzie, wrócić do rodzicielskiego zamku jest gotową.

Atalric złożył przyrzeczenie i zabrawszy z sobą Odilę, stał się od owej chwili najpokorniejszym jej sługą. Zamieszkawszy w zamku Obernai, odstąpił córce zamek Alitonu.

Tu Odila założyła klasztor Benedyktynek, których została przełożoną. Tak więc, wierzchołek starej góry, który służył za świątynię Gallom zwycięzkim, za pozycyę militarną cesarzowi Maksymianowi, stał się schronieniem ascetyzmu, którego przykład dała chrześciańska dziewica.

Nie jadła ona jak chleb jęczmienny, sypiała na niedźwiedziej skórze, kamień kładąc pod głowę zamiast poduszki.

Te umartwienia uczyniły ją jasnowidzącą w najgłębszem tego słowa znaczeniu; odgadywała cierpienia dusz bliźnich, niosąc im pomoc słowem i czynem.

Widywano ją codziennie w białej wełnianej powłóczystej szacie, schodzącą z gór Alitonu, przebiegającą kolumny wysokich jodeł, aby pocieszać i pielęgnować strapionych i chorych. W tym czasie Atalric umarł.

Odila modliła się za zbawienie jego, a prosiła tak gorąco i szczerze, że siostry zakonne znalazły ją razu pewnego omdlałą na klęczkach w zachwycie.

Gdy przemówiły do niej, zawołała:

— Nie budźcie mnie... nie budźcie! och... byłam tak szczęśliwą! — I w tejże chwili Bogu ducha oddała, a jednocześnie na całym wierzchołku góry, rozległ się zapach róż, który napełnił powietrze.

Ktokolwiek dosięgnął szczytu tej góry, ktokolwiek zwiedziwszy znajdujące się przy klasztorze „Kaplicę płaczu” i „Kaplicę Aniołow”, rzucił okiem na ten rozległy horyzont i widział drżącą linię błękitnych gór Jura, w purpurze zachodu, uwierzy bez trudności w dziewicę z czasów Merowingów.

Będzie mu się zdawało, że czuje tchnienie jej duszy w tem powietrzu tak wonnem a czystem.

Schodząc przez ten wielki las jodeł, którego wierzchołki gubią się w cieniach błękitu jak w nieskończoności, nie powstrzyma się od marzeń, o niewidzialnym a mimo to wiekuistym kościele dusz wielkich, który jest po nad wszystkie czasy i wszelkie dyskusye, mając za podwaliny litość i wiarę w nieśmiertelność.

ZAZDROŚĆ.

Lubię jasnych gwiazd tysiące.
Co na niebie płoną,
Lubię kwiaty tak zdobiące,
Murawę zieloną.

Lubię... ale moja droga,
Łzy z twych oczu płyną,
Powiedz, powiedz więc na Boga,
Co jest ich przyczyną?

* * *

„Gwiazdy, kwiaty... O, mój miły,
Gwiazdy Bóg zapala...
Kwiaty... wyrzec nie mam siły —
Luby mój wychwala.

Gwiazdy, kwiaty!... Cóż ja znaczę
W obec ich piękności?
Kocham ciebie — a więc płaczę,
Bo serce zazdrości.”

* * *

Lubię kwiaty, moje dziecię,
I gwiazdy na niebie,
Ale *kocham* na tym świecie,
Tylko jedną ciebie!

Dla ozdoby twych warkoczy,
Kwiaty czczę nadobne;
Lubię gwiazdy, bo twe oczy,
Do gwiazd są podybne.

Ludwik z Wegier.

STARE GNIAZDO.

HUMORESKA

SKREŚLIŁ

Anatol Kr.

Pięć kart, piętnasty sekwens to dwadzieścia, czternaście waletów, dziewięćdziesiąt dwa.

— Śliczności, tylko że ja takoż kochaneńku mam dam czternaście — zawtórował słodziutkim głosem drugi partner — więc dobrodzieju walety nic potem.

— Co, zachciałeś sąsiad damy? Ażeby to kule biły! — huczał głosem tubalnym mężczyzna otyły, o zawiesistych siwych wąsach i nogach schorowanych widocznie, bo pomimo wczesnej jesieni ciepłą otulonych kołderką. — Spiknęło się dziś wszystko na mnie, czy co? Pan brat każe czekać na siebie, obiad mi dają przestały, wino kwaśne, cygaro nie ciągnie, wreszcie zrzucam ośmnasty sekwens, psuję carte-rouge, byle utrzymać walety, a tu akurat damy przychodzą. Cóż u dyabła świat się kończy chyba!

— Że się rozpsiał, to się rozpsiał *) — potwierdził litwin śpiewnie.

Gospodarz, istny typ domowego satrapy, zżymnął się z gniewu, a rzuciwszy okiem na młodą parę, zajętą rozmową w głębi pokoju, zawołał szorstko.

— Bronisław, czego tam przeszkadzasz Tereni haftować? Cóż to, do jednego pantofla dwoje was potrzeba?

— Ja proszę wuja rozmawiałem tylko.

— Widzicie go, rozmawiał tylko! A cóżeś ty chciał robić?—ofuknął pan prezes gniewnie. — Za moich czasów takie błazny **) nie śmiały się nawet do kobiet przybliżać. Chodź, bierz karty i graj za mnie, może się wena zmieni.

— No, tak, kiedy błazny, to nie powinni takoż i karciętami się bawić — odezwał się szczęśliwy posiadacz czternastu dam.

Gospodarz jednak nie słuchał go dalej, a zakręciwszy korbą specyalnie zbudowanego fotelu, potoczył się na nim ku pięknej czarnobrewej dziewczynie, której majestatyczna postać doskonale królewskiemu odpowiadała imieniu.

— Proszę cię Terka — stłumionym mówił głosem — żebyś nie pozwalała Bronisławowi na podobne konfidencye.

— Na jakie konfidencye papo?

— Do mnie nie potrzebujesz acanna zawracać czarnemi oczami, bo ja się na tem znam. Nie po to pracowałem i zapobiegałem całe życie, nie po to zgromadziłem jedną z pierwszych fortun na Żmujdzi i Litwie, żeby lada chłystek umizgał się do mojej jedynaczki. Jeżeli ubogich krewnych przyjmuję, to dlatego, aby świat nie mógł mówić, oto stary Gedymin tak już spanoszał, że własnej zapiera się rodziny.

---

*) Rozpsiał, prowincyonalizm litewski, znaczy zepsuł się.

**) Błazen nie jest na Litwie wyrażeniem obelżywem, a znaczy tyle co dzieciak, młokos.

— Fi, któżby rzecz taką powiedział, wszak wiedzą jakie papa ma serce...

— Serce, serce, dajże mi z niem pokój i wół ma serce a bodzie. Tu nie chodzi o babski sentyment a o punkt honoru. Dobra krew nie kłamie. Gedyminowie ród książęcy, a choć podupadł, wie co sobie winien. Gdyby mi Bóg dał syna, mógłby znów dumnie mitrę swą nosić, skoro pokarał córką...

— Ojcze! — wybiegło z wyrzutem na usta dziewczęcia, a czarne jej oczy łzami zaszły.

Stary prezes zmiękł w okamgnieniu. Książęcy rodowód i córka, były to dwie najsilniejsze życia jego namiętności. Która opanowała nim głębiej, trudno rozsądzić; w każdym razie łza zawisła na rzęsach jedynaczki rozbroiła go odrazu.

— No, no, Tereniu, nie chciałem ci zrobić przykrości — mówił skruszony. — Gdybyś miała matkę, nie wdawałbym się w to, ale dziś za dwoje strzedz cię muszę. Wszak więcej nikogo nie mam na świecie, a na dowód właśnie jak dumny z ciebie jestem, chcę aby ostatnia Gedyminówna stosowną zrobiła partyę. Wielkim rodom nie wolno po plebejuszowsku wygasać.

— Wygasać? Wszak Bronisław ma także prawo...

— Do czego? Nazywa się przecież Slepść, do czegoż jakiś Slepść może mieć prawo?

— Do rodu Gedyminów.

— Brednie! Przypiął jak kwiatek do kożucha, Slepść do Gedymina... To coś jak ślepy Gedymin. Tfu! Mazury tylko ślepe być mogą, a nie ród książęcy. Piękny mi kniaź Gedymin na jednej wioszczynie. Oh, żeby nie te nogi, przykuwające mnie do fotelu, dawno byś już błyszczała wśród pierwszych w kraju rodzin. Tam miejsce dla ciebie.

Starego dorobkiewicza despotę rozrzewnienie ogarniało, chcąc przerwać przykrą rozmowę, córka na inny zwróciła ją przedmiot.

— Co to stryja Stanisława tak długo nie widać?

— Siedzi w Grodnie i bawi się, a na przeprosiny przywiezie znów jakiego szaławiłę.

— Dwieście pięćdziesiąt punktów odrazu — zabrzmiał z drugiego końca salonu śpiewny głos pana Taratuto, a tom ci wsypał kochaneńku!

Kniaź Gedymin za głowę się chwycił i z furyą zakręcona korba, przeniosła go w jednej chwili do stolika.

— Bronisław, toś ty taki fuszer? Nie wiedziałem o tem, dawaj karty!

Młody człowiek podniósł się i chciał oddalić.

— O nie, bratku! Kiedy nie umiesz grać, to siedź i przypatruj się, żebyś mi drugi raz partyi nie psuł!

Pikieta poszła żwawo dalej, kniaź tylko, któremu podagra więcej dziś dokuczała niż zwykle, sapał z rozdrażnienia, Bronisław zaś rzucał od czasu do czasu tęskne ku pięknej kuzynce wejrzenie. Czuł, że stary trzyma go umyślnie na uwięzi, była to zwykła taktyka wobec licznych konkurentów milionowej jedynaczki. Każdy z nich nie obdarzony majątkiem lub tytułem, sadzany bywał do pikiety, przy której dopóty pokutował, aż znudzony żegnał na zawsze starego tetryka i pretensyonalny jego pałac.

Na szczęście turkot powozu, przerwał dalsze jego męczarnie. Kniaź Gedymin spojrzał w okno i brwi gniewniej mu się jeszcze zsunęły, ręka zaś chwyciła za kolano, w którem ból ostrzejszym się stawał.

— A co, zgadłem, wiezie jakiegoś młokosa — mruknął, głośniej zaś dodał: — Znów ma sąsiad wszystkie asy, cóż to oczarował kto karty chyba.

Do salonu wszedł w tej chwili p. Stanisław Gedymin, stryjeczny brat gospodarza, zawiędły stary kawaler, prowadząc pod rękę wyelegantowanego zdechlaczka.

— Przedstawiam prezesowi — wołał od progu, chcąc widocznie burzę od siebie odwrócić.

— Cóżeś tak długo siedział? — pytał stary despota, udając że nie słyszy prezentacyi.

Zjazd był liczny, wszyscy się o księcia dopytywali.

— Obejdzie się, zbytek zaszczytu. Jakiegoż to gościa przywiozłeś znowu?

Zdechlaczek wystąpił uroczyście naprzód.

— Jestem...

Groźne spojrzenie gospodarza zmieszało go na razie.

— Jestem Ba... ba... ba... — zająknął się mimowoli.

— Ba.. ba... ba... bałwan acan jesteś — uzupełnił gospodarz wściekle, chwytając się z bolesnem skrzywieniem za nogę.

Młodzieniec cofnął się zbity z toru, zanim jednak zdołał odpowiedzieć, przed nim stała już piękna kniaziówna, a zwracając błagalnie czarne oczy wyrzekła z wyciągniętą rączką.

— Witam pana... — poczem zniżając do szeptu słodki swój głosik, dodała szybko. — Proszę przebaczyć papie, jest chory i rozdrażniony, nietrzeba popędliwości jego brać za złe.

Uprzejmość milionowej jedynaczki rozbroiła go zupełnie, widok zaś urodziwej dziewczyny tak pogłaskał po sercu, iż niepomny bałwana, uchwycił drobne paluszki i do ust je podniósł.

— Hrabia Baworski — uzupełnił równocześnie stryj Stanisław, kończąc przerwaną prezentacyę.

Spazm bólu ominął tymczasem prezesa, a bystre jego ucho, pochwyciło w lot tytuł hrabiowski. Korba zakręconą została i starzec wraz z fotelem, znalazł się oko w oko z przybyłym.

Ruch ten gwałtowny tak przeraził młodzieńca, iż wyprostowawszy się, upuścił trzymaną przy ustach dłoń panny Teresy. Na nieszczęście zdobiący ją wielki pierścień, zaczepił się o sznurek monokla i rączka zawieszona przez sekundę pod nosem hrabiego, opadła własnym ciężarem, zrywając szkiełko z ogłupiałych jego oczu.

— A to co?—spytał prezes z trudnością wstrzymując się od śmiechu.

Powaga p. Teresy uratowała młodego i dotknąwszy lekko ramienia ojca, wygłosiła uroczyście:

— Papo, pan hrabia Baworski.

— Jąkalski — podszepnął kuzynek Slepść z boku.

Krzaczaste brwi Gedymina oddaliły się od siebie, usta siwym pokryte wąsem rozchyliły w uśmiechu, a cała fizyonomia przybrała wyraz poczciwej dobroduszności.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Słówko o brzuchomówstwie.

Brzuchomówstwem nazywa się zdolność wymawiania wyrazów w ten sposób, że słuchającym zdaje się, iż głos dochodzi do nich z różnych stron i z różnych odległości. Sztuka ta przez wprawę dochodząca do pewnej doskonałości, znaną było w najodleglejszej starożytności i prawdopodobnie używaną była przy wyroczniach delflickich.

Gdy brzuchomówcy są bardzo wprawni, to mogą wydawać kilka różnych głosów, tak jak np. Charles wydawał cztery głosy tenorowe. Więcej jeszcze dziwił Comte, który z wielkim przestrachem mieszkańców rozmawiał na cmentarzu z umarłymi.

Niedawno w cyrku Schumana w Warszawie, popisywał się jakiś Szlązak dość nieźle nawet mówiący po polsku, prowadzący rozmowę z trzema naraz lalkami naturalnej wielkości, z wielką ułudą słuchaczów. Rozmowa była humorystyczną słuchaną z wielkiem zajęciem i wynagradzaną hucznemi zawsze oklaskami.

Fizyologiczne warunki tej sztuki dotąd nie są dostatecznie zbadane.

W obecnych dopiero czasach profesor d r Küssner z Halli wyjaśnił w ostatnich czasach tajemnicę, jaka pokrywała dotychczas zjawiska fizyologiczne przy tak zwanem brzuchomówstwie. Już Jan Müller stwierdził, że tony, które wydają się nam, jakoby pochodziły z pewnego oddalenia, wydobywa brzuchomówca w czasie wydechania. Wydechanie to jest jednak niezwykłem. Według Müllera, dokonywa się je przy bardzo wązkim przewodzie głosowym powoli za pomocą ściągania ścian piersiowych, wskutek czego przepona zostaje nieco w dół uciśniętą a brzuch wyprężonym. Prof. Küssner spostrzegł to samo w czasie swoich doświadczeń. Udało mu się jednak zbadać także i zjawiska w jamie ustnej i gardłowej, które wpływają na osobliwszy dźwięk głosu brzuchomówcy. Prof. Küssner stwierdził, że u brzuchomówcy krtań nie podnosi się, jak dotychczas mniemano, leczowszem znacznie się pochyla, tak, że zdaje się, iż głos pochodzi z piersi i wskutek tego jest niższym, podczas gdy przy wydobywaniu zwykłego głosu fistułowego, krtań nieco się podnosi. Ale brzuchomówca używa równocześnie także i tego głosu, wskutek czego głos jego ma dźwięk tem osobliwszy. Ponieważ muszkuły ustne, zazwyczaj najwięcej przy mówieniu czynne, mają u brzuchomówcy czynność bardzo ograniczoną, przeto spółgłoski brzmią u niego mniej zrozumiale, aniżeli w czasie normalnego mówienia. Ta to okoliczność jest powodem, że wydaje się nam, jakoby głos brzuchomówcy dochodził uszu naszych w pewnej odległości. Zdaje się dalej, iż w głosie brzuchomówcy odpada cały szereg tonów górnych, które głosowi ludzkiemu użyczają przy normalnem mówieniu specyalnego charakteru.

Samogłoski brzmią u brzuchomówcy prawie niezmiennie, tylko „i" nie jest zupełnie czystem, lecz owszem brzmi tak, jak niemieckie „ä". Brzuchomówca nie porusza w czasie mówienia językiem, który spoczywa na dnie jamy ustnej. Prof. Küssner wnosi z tego wszystkiego, iż brzuchomówstwo

polega tylko na bardzo małej zmianie głosu fistułowego, a wniosek ten stwierdził przy badaniach brzuchomówcy, którego głos przeciętny odpowiadał tonowi *d* pod liniami.

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

W małym, w guście wschodnim umeblowanym saloniku, siedział Lereboulley zajęty grą w karty, sir James Olifaunt, Bramberg i Selim Nuno, grali z nim partyą Pokeru. Piękna Dianna wsparta na ramieniu Klemensa de Thauziat, poszła zwiedzić osobliwości pałacu a senator spokojny o nią wiedząc, że jest pod opieką człowieka we wszystkich wzbudzającego szacunek, z przyjemnością oddał się rozrywce. Upłynęło może z półgodziny jak nikt nie przerywał grającym i opasła, starannie wygolona twarz pana Lereboulley wyrażała zadowolenie zupełne, gdy do saloniku wszedł mężczyzna prowadząc pod rękę nizkiego wzrostu, szczupłą i drobną postać kobiecą, otuloną blado niebieskim atłasowym płaszczem suto wygarnirowanym kosztownemi walansienami. Mężczyzną był Ludwik Hérault; na szelest spowodowany ich wejściem, senator podniósł wzrok i poznając młodego człowieka, zawołał wesoło:

— Co widzę! zdobyłeś już sobie jakąś piękną maseczkę. No, mój chłopcze, ty nie należysz nigdy do ludzi lubiących się opóźniać.

— Jeżeli prowadzę tę młodą osobę — odparł Ludwik ze spokojnym uśmiechem—czynię to jedynie dlatego, aby tobie kochany przyjacielu oddać małą przysługę.

— A więc ja znam tę maseczkę?

— Kogóż ty nie znasz w Paryżu?

— Ciekaw jestem, kto jest ta zakwefiona dama, która z taką ufnością tuli się do twego ramienia?

I tłuścioch rzuciwszy karty na stół, podniósł się z krzesła a przybliżając się do kobiety chciał zręcznie odchylić koronkę, okrywającą dolną część jej twarzy, gdy wtem nieznajoma chwyciła go za ramiona i głośno pocałowała w obydwa policzki.

— A widzisz jak cię czule wita! — zawołał Ludwik z nietajoną wesołością — musi cię znać dobrze.

Zamaskowana kobieta cofnęła się z głośnym śmiechem, którego dźwięk wywołał lekką chmurkę na czoło pana Lereboulley i wspierając się znów na ramieniu swego towarzysza, pociągnęła go do dalszych komnat. Przez chwilę słychać jeszcze było szelest jej jedwabnej sukni.

— Przysiągłbym, że to była ta szalona Emilia — szepnął do siebie senator, ścigając wzrokiem znikającą we drzwiach parę.

Poczem wzruszył ramionami i zasiadł znów do stolika. W istocie ową nieznajomą nie był nikt inny tylko Emilia, która od godziny krążyła w towarzystwie Ludwika po salonach księcia, zaczepiając tego i owego dowcipnemi uwagami jakich nigdy nie brakło jej bystremu umysłowi. Właśnie otoczyło ją ciekawe koło, chcąc lepiej słyszeć jej trafne odpowiedzi jakiemi walczyła z autorem słynącym z ostrego dowcipu. Zmieniwszy głos doskonale, Emilia wytwornemi kłuła go szyderstwy; w wyrażeniach jej nie było nic pospolitego, nic rażącego, każde słowo zdradzało osobę z wyższego świata niepospolitym obdarzoną umysłem. To też złośliwe jej dowcipy nie obrażając nikogo, wywoływały szczere wybuchy śmiechu. Ludwik zadowolony, że dzięki swej towarzyszce, zwrócił na siebie uwagę ogółu, dopomagał jej w żartach i pozwalał prowadzić się po salonach, gdzie Emilia chciała. Ona szła zwolna zatrzymując się tylko na chwilę i zaczepiając znajomych, których spotykała mnóstwo: wzrokiem zdawała się szukać kogoś w tłumie.

Doszli tak aż do cieplarni, gdzie pod cieniem olbrzymich liści podzwrotnikowych roślin, w pośród mchów szmaragdowo zielonych i miękkich jak jedwab, płynął z cichym szelestem mały strumyk sączący się zwolna z urny, którą trzymała marmurowa nimfa. Wody strumyka zbiegały do małej sadzawki, wyłożonej porfirowemi płytami. Wzdłuż ścian na złotej kracie, rozpięte były krzewy białych i różowych kamelii.

Z pod oszklonego stropu zwieszały się różnorodne pnące rośliny, poplątane w fantastyczne zwoje, które niby węże z zieleni kołysały się lekko w powietrzu. Jak tajemnicze bóstwo tego rozkosznego ustronia, wznosił się na bronzowym piedestale posąg Wenus, artystycznie wyrzeźbionej z czarnego marmuru. Odurzający zapach storczyków połączony z wilgotnemi wyziewami ziemi, tworzył duszną i upajającą atmosferę, która usposabiała do marzeń i zachęcała do odpoczynku.

Na progu już Ludwik uczuł, że ręka Emilii zadrżała a z piersi jej przytłumione wyrwało się westchnienie. Nie pytał jej jednak o przyczynę wzruszenia, gdyż poznał zdaleka Klemensa de Thauziat stojącego przed marmurową ławką, na której siedziała kobieta białem osłonięta dominem.

Z pod koronkowego kapturka wymykały się nieoględnie sploty złotawo blond włosów a czarna aksamitna maska, nieobszyta koronką, zakrywając twarz, odsłaniała jednak różowe lekko rozchylone usteczka, wśród których połyskiwały drobne i białe jak perły zęby. Gdy się uśmiechnęła na policzkach zjawiały się dwa czarujące dołki. Pomimo luźnego płaszcza, osłaniającego całą kibić, kobieta zdawała się być wysoką i ładnie zbudowaną. Z pod rąbka atłasowej sukni wyglądała mała nóżka, obuta w zgrabny biały atłasowy pantofelek, którą kołysząc z lekka ukazywała nawet jedwabną ażurową pończoszkę, cienką jak tkanka pajęcza.

Ręce jej, może trochę za duże, igrały od niechcenia z kosztownym wachlarzem z różowych piór strusich. Klemens, w białej atłasowej kamizelce, z kwiatkiem przypiętym do klapy fraka, elegancki i piękny jak zawsze, rozmawiał od niechcenia ze swą towarzyszką, chłodząc ją poufale szapoklakiem. Na twarzy jego nie znać było ciekawości ani zadowolenia, lecz zwykłą, zdawkową obojętną uprzejmość.

— Otóż i szanowny pan de Thauziat — zaczęła zmienionym głosem Emilia. — Zawsze spotkać go można w towarzystwie ładnej kobiety!... Dobry wieczór pani — ciągnęła dalej, kłaniając się z komiczną powagą zamaskowanej kobiecie. — Czy pani nie lękasz się o swoją opinię, bałamucąc tak pięknego chłopca?

Kobieta nie odrzekła ani słowa na zaczepkę Emilii, tylko jeszcze mocniej wachlować się poczęła.

— Jeżeli i nadal tak skąpą okażesz się w wyrażeniach, piękna maseczko, to jestem pewną, że nie nadwerężysz sobie głosu — podjęła znów Emilia. — Cóż za czarująca nóżka... a rączka?... radabym zobaczyć ją także...

I zanim nieznajoma się spostrzegła, Emilia ściągnęła jej zręcznie długą, białą, duńską rękawiczkę i zaczęła macać jej palce i przypatrywać się białej dłoni z tajemniczą miną wróżki.

— Czy umiesz wróżyć, piękna maseczko? — spytał z uśmiechem Klemens.

— Jeśli kto sobie tego życzy, to bardzo chętnie dzielę się z nim memi wiadomościami, lecz uprzedzam, że nie jestem zbyt przezorną i mówię wszystko co widzę.

— Tem lepiej, maseczko, wróżby twoje są przez to daleko ciekawsze... Cóż ty usłyszałeś Ludwiku... bo przypuszczam, że skorzystałeś z tak doskonałej sposobności i starałeś się odsłonić rożek zasłony zakrywającej twą przyszłość.

— Mylisz się, mój drogi, cały zasób mej wiedzy zachowałam dla twej towarzyszki, jeżeli naturalnie zgodzi się mnie wysłuchać.

Kobieta w białem dominie chciała cofnąć rękę, lecz Emilia trzymała ją tak silnie, że nieznajoma mogłaby tylko wyrwać ją przemocą i to jeszcze kto wie czy byłaby tego dokazała. Chcąc nie chcąc, musiała zatem zgodzić się na wróżbę. Emilia pochyliwszy się nieco, wpatrywała się pilnie w białą, delikatną dłoń kobiety. Oczy jej przez otwory maski, złowrogim zajaśniały blaskiem a na ustach szyderczy zjawił się uśmiech, gdy po chwilowem milczeniu w te odezwała się słowa:

— No, no, to dłoń niezmiernie ciekawa dla wróżki i przypatrzywszy jej się dobrze, nie można łudzić się pod względem charakteru jej właścicielki. Usposobienie i skłonności twoje, piękna maseczko, występują na dłoni jawnie, bez żadnych osłon ani tajemnic... Cudowna linia rozumu, przecinająca linią życia, góruje nad innemi tłumiąc porywy serca. Namiętności, kaprysy, pragnienia, jednem słowem każdy ważniejszy czyn w życiu, podlega u ciebie krytyce rozumu. Jesteś jak Wenus spowinowacona z Merkurym i dlatego instynkt kupiecki poprzedza u ciebie zwykle uczucie miłości... O! tego nie możesz pani zaprzeczyć, to jasne jak słońce — dodała wskazując chudym palcem na zagięcie dłoni. Względami swemi nie szafujesz bezinteresownie... Potrafisz drogo sprzedać swój towar, piękna maseczko... Aby się tobie podobać trzeba pełnemi garściami sypać złoto!...

Emilia nie mogła dłużej już prawić, gdyż zamaskowana kobieta zerwała się z kanapki i cofając gwałtownie rękę, spojrzała z nienawiścią na młodą dziewczynę.

— Cóż to? — zawołała lekko drwiącym tonem panna Lereboulley — pani się gniewa? Pani ma może do mnie urazę?... Przepraszam panią, zaczynam przypuszczać, że jesteś damą z wielkiego świata... chociaż mówiąc nawiasem są i między niemi takie, których miłość drożej kosztuje niżmiłość kobiet z półświatka!...

Ludwik widząc, że na otwartą zanosi się walkę, przysunął się trochę bliżej a twarz jego żywy zdradzała niepokój. Zdawało się, że pragnie ra

czej stanąć w obronie kobiety w białem dominie i wyzwolić ją od nielitościwych szyderstw Emilii, niż uchronić swoją towarzyszkę od wybuchu namiętnego gniewu tej, którą w tak okropny sposób obraziła. Rzeczywiście młodej dziewczynie groziło przez chwilę prawdziwe niebezpieczeństwo. Twarz nieznajomej z bladej stała się siną a białe jej zęby do krwi przygryzały usta. W przystępie szalonego gniewu, podniosła ręce jakby chcąc uderzyć przeciwniczkę, lecz w tejże chwili poznała, że nie może podobną opłacić jej zniewagą i że gwałtowność jej, nie zmazałaby jednak obelgi tak bezlitośnie ciśniętej jej przez Emilię i opuszczając zaciśnięte dłonie, rzekła po angielsku:

— Zapłacisz mi za to...

Poczem szybkim krokiem skierowała się ku drzwiom cieplarni.

— Zapłacisz mi za to! — powtórzyła z głośnym śmiechem Emilia — wszak mówiłam przed chwilą, że od ciebie nikt nic darmo nie dostanie a słowa twoje potwierdzają mój domysł.

I zwracając się do swego towarzysza, wskazała na niknącą we drzwiach kobietę:

— Biegnij za nią, mój drogi — dodała — widzę twoją niecierpliwość z jaką oczekujesz abym cię zwolniła!...

— Czy mówisz mi to pani dlatego, abym cię zostawił sam na sam z moim przyjacielem de Thauziat? — spytał Ludwik wesoło, umyślnie tytułując Emilię panią, aby w błąd wprowadzić Klemensa.

— Być może! — odparła młoda dziewczyna, kładąc rękę na ramieniu pięknego Klemensa. — Jestem wdzięczna temu nieustraszonemu rycerzowi za to, że nie usiłował bronić swej towarzyszki i nie walczył ze mną.

— Gdyby chciała się bronić, jestem pewien, że potrafiłaby dokazać tego sama — rzekł spokojnie Thauziat.

— Dziwi mnie to, że pozwalasz jej się oddalić i nie dążysz za nią.

— Czy pani nie widzisz — odparł Thauziat wskazując jej Ludwika, który pobiegł w celu odszukania kobiety w białem dominie — że towarzyszka moja znalazła gorliwszego odemnie rycerza?

— Jak widzę, nie jesteś zazdrosnym, mój drogi, a jednak jeśli się nie mylę, kobieta musi być bardzo piękna.

— Piękna jest w istocie, ale nie mam żadnego powodu być zazdrosnym o nią.

— Nie masz już żadnego powodu? — podchwyciła Emilia. — Ale czy to prawda?

— Jeżeli tak mówią!

— Ważny powód, czyż można ufać takiemu twierdzeniu?—zawołała Emilia śmiejąc się z przymusem. — Argument ten może być wystarczający dla mężczyzny, który byłby o tyle ograniczony aby weń uwierzyć, ale nie dla kobiety... Powiedziałeś to jedynie dlatego aby ze mnie zażartować.

— Wiesz dobrze, że nigdy nie uciekam się do kłamstwa.

— Które zresztą w obec mnie byłoby bezużytecznem. Wiem całą prawdę i wszelkie twoje usiłowania, aby mnie oszukać, na nic by się nie przydały.

Klemens uśmiechnął się i rzekł z odcieniem szyderstwa w głosie:

— Czy tajemnicę tę wyczytałaś, maseczko, z dłoni pięknej blondynki?

— Z jej dłoni lub z twoich oczu.. ale to dla ciebie obojętne chyba zkąd wiem, dość że wiem wszystko.

— No, no, nie bardzo jakoś chce mi się w to wierzyć.

— To chodź tu do tego kącika, gdzie skryć się można przed wzrokiem ciekawych a powiem ci coś więcej jeszcze.

Mówiąc to pociągnęła Klemensa pod wielką palmę, której olbrzymie wachlarzowato roztoczone liście ocieniały kanapkę uplecioną z pozłacanej trzciny. Tuż obok kląby kwitnących heliotropów napełniały czarowną wonią powietrze. Strumyk szemrał płynąc zwolna wśród łożyska z mchów i drobnych, białych kamyków. Światło żyrandoli przedzierając się przez zielone sklepienie liści, łagodnym blaskiem rozjaśniało to urocze schronienie. Zdala dochodziły stłumione dźwięki okiestry, jakby przypominając tym co tu szukali odpoczynku, że po za tą oazą nęcącą ciszą i świeżością, wre życie światowe, owa nieustająca gonitwa za rozkoszą i przyjemnościami.

Przytulona w rogu kanapki panna Lereboulley przez chwilę przypatrywała się uważnie swemu towarzyszowi. Thauziat spokojnie, z uśmiechem na ustach oczekiwał rozmowy, której treść zdawało się, że odgadywał zawczasu i przygotował się do niej, wiedząc, że jej uniknąć nie zdoła. Nareszcie nie mogąc doczekać się wstępu, zaczął pierwszy utrzymując się ciągle w żartobliwym tonie:

— Moja luba wróżko, musisz się teraz wytłomaczyć!... Ale uprzedzam cię, że mnie niełatwo wyprowadzić w pole... Twierdzisz, że wiesz całą prawdę a zatem objaw mi ją i zużyj odrazu cały zasób twej złośliwości.

— Bardzo chętnie — odparła Emilia. — Zacznijmy od pięknej Dianny, gdyż ona to kryje się pod tym białem dominem. Łatwo ją poznać po zwojach złotych włosów i w tym razie niewielkiej jeszcze dowiodłam przenikliwości... Gdy skończymy o niej, zacznę wtedy mówić o tobie... Ty pierwszy spotkałeś ją w Londynie w roku 1878 i postarałeś się o to, aby jej inne wyrobić w świecie stanowisko. Była ona wtedy dziewczyną usługującą w bawaryi Chancery-Lane i nazywała się Kate Browne, podawała piwo i przekąski gościom a za pół korony można było pozyskać jej względy; była bardzo ograniczoną lecz niezmiernie piękną. Przypadek sprowadził cię raz do zakładu w którym ona służyła i odrazu uczułeś dla niej litość i uwielbienie, gdyż człowiek z tak wysoko jak ty rozwiniętem poczuciem artystycznem, nie mógł patrzeć obojętnie na to, aby ta siedmnastoletnia piękność pomywała szklanki i zachwycała pierwszego lepszego przechodnia. Chociaż wolność swoją cenisz nadewszystko, wziąłeś ją jednak i stanowisko jej zmieniło się od tej chwili. Był to koniec sezonu, polując w hrabstwie Jorkshire i nad jeziorami Szkocyi, wracałeś jednak czasami aby spędzić dni kilka przy boku kobiety, która oczarowała cię urokiem swej piękności. Dobrałeś jej nauczycieli i kazałeś ją uczyć, gdyż nie mógłbyś znieść, aby ktoś żyjący obok ciebie wyrażał się gminnie i pospolicie i nie lubisz odbierać listów pisanych nie ortograficznie. Kate skorzystała z twojej wspaniałomyślności i w kilka miesięcy zmieniła się tak dalece, że dawni towarzysze niedoli i zabaw nie poznawali jej na ulicy. Twarzą w istocie przypominała dawną Kate, lecz obejściem i ubraniem nie różniła się od młodej lady. Skoro już okrzesałeś ją z nieświadomości i pospolitego obejścia i popchnąłeś na drogę występku, interesa powołały cię do Paryża; wtedy obdarzywszy ją tysiącem franków i pocałunkiem na pożegnanie, zwróciłeś jej wolność. Była już wtedy Dianną ale nie nazywała się jeszcze Olifaunt. Teraz posiadała już wszystko co mogło jej służyć do zrobienia świetnej karyery: nadzwyczajną piękność, zepsucie i brak drażliwości w przebieraniu środków prowadzących do celu. Potrzebowała jednak wspólnika, któryby jej dopomógł do uzyskania w świecie stanowiska i napotkała go wkrótce a był nim sir James.

Thauziat słuchał obojętnie całej tej przemowy, jakby ona nie do niego się stosowała, lecz gdy Emilia ostatnie wymówiła słowa, spojrzał na nią zdziwiony i nieusiłując zaprzeczać, rzekł spokojnie:

— Kto ci udzielił tak szczegółowych objaśnień, maseczko? Mało kto wie o tem, o czem ty z taką pewnością mówiłaś przed chwilą...

— Długi czas mieszkałam w Anglii — odpowiedziała Emilia wciąż jeszcze głos zmieniając.

— Dziwna rzecz, że w mowie nie zdradzasz wcale cudzoziemskiego akcentu — przerwał jej Thauziat, spoglądając na nią badawczo.

— Dianna nie ma także cudzoziemskiego akcentu, choć dopiero od dwóch lat mieszka we Francyi. Lecz podobne stworzenia obdarowane są zazwyczaj wielkiemi zdolnościami... Czy chcesz abym mówiła dalej?...

— I owszem, bawisz mnie bardzo, maseczko.

— Gdyby Dianna była obecną naszej rozmowie, bawilibyśmy się jeszcze lepiej.

— Jakto? miałabyś odwagę powtórzyć to wszystko w obec niej?

— A dlaczegóżby nie?

— Nienawidzisz ją?

— Nie zrobiłabym jej tego zaszczytu, aby ją nienawidzieć. Pogardzam nią tylko i brzydzę się jak błotem ulicznem.

— Strzeż się! Dianna jest mściwą... Ta kobieta zdolna w chwili uniesienia przysłużyć ci się witryolejem.

Emilia pogardliwie wzruszyła ramionami i naturalnym głosem odpowiedziała:

— Jeżeliby mnie oszpeciła, kto wie czy nie skorzystałabym na tem?

— Mówisz to przez zalotność, w chęci wywołania zaprzeczenia! — rzekł uprzejmie Thauziat.

— Skoro tak twierdzisz, widzę, że nie poznajesz mnie zupełnie — rzekła znów głos zmieniając.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wskazówki umiejętnego ubierania się.

Zebrała i własnemi spostrzeżeniami uzupełniła

Doświadczona Warszawianka

M. Niemitra.

SŁÓWKO WSTĘPNE.

Płeć piękna, której poświęcamy niniejszą pracę, jest bardzo często w wielkim kłopocie jakie upiększenia należy zastosować do tualety, jak ją uzupełnić, jak wreszcie, przychodząc sztuką w pomoc naturze, wystąpić z szykiem.

Otóż wsparci doświadczeniem w tym względzie dajemy tu kilka rozdziałów. Jesteśmy w nich gło-

wnie przeciwni używaniu kosmetyków, radząc posługiwać się tylko zimną wodą. Podajemy kilka wypróbowanych, niewinnych środków konserwowania zębów, włosów i rąk; w krótkości opowiadamy o pachnidłach używanych u starożytnych ludów, podając sposoby odświeżające. Mówimy o pachnidłach w ogóle. Dajemy wskazówki ubierania się stosownie do indywidualności, zwracamy uwagę na dobieranie kolorów tualety stosownie do koloru włosów i cery i w końcu, uwagi, jak małemi środkami można się zręcznie i gustownie ubrać.

I. O cerze i utrzymywaniu takowej.

Sztuka wysuwania swej piękności na pierwszy plan, była zapewne pierwszą przez płeć piękną uprawianą; jestem nawet pewną, że już pani Ewa, każdego poranku, oczekując Adama, rzucała długie spojrzenie w kryształowy strumyk, aby się dowiedzieć: czy dziś jest piękną? Sztuka ta, którą każda kobieta powinnaby gruntownie znać, zasadza się na: postawie, cerze i włosach, które uważać można jako „trio" kobiecego wdzięku.

Największe błędy bywają popełniane w konserwowaniu cery. W naszym klimacie kobiety mają piękną biało-różową cerę, utrzymanie której sprawia im niemało kłopotów i kosztów.

Fabrykanci kosmetyków w każdym roku wynajdują nowe środki upiększania cery, które mniej albo więcej nie pomagają.

Przed niedawnym czasem opowiadano sobie, jakoby słynna Patti, przez użycie Goldcrêmu, zapewniła sobie świeżą, młodą cerę. Cóż właściwie cudowny środek ten zawiera? Mieszaninę olejku migdałowego, wosku, olbrotu i wody różanej; najwyższy skutek, jaki specyfik ten wywrzeć może, jest wydelikatnienie i utrzymanie sprężystości skóry, zresztą nic.

Zapewne niejedna z łaskawych czytelniczek, przekonaną jest o wybornych skutkach pudru i bielidła; otóż panie te pozostają w mocnym błędzie. Puder, przeciwnie, każdą cerę niszczy, nadaje skórze popielatego koloru, lub też woskowo-żółtego; artystki także nie używają go dla podwyższenia swej piękności, lecz tylko w celach mimicznych, gdyż w jaskrawem oświetleniu teatralnem, najbielsza i najświeższa cera wydaje się matową.

Obecna cesarzowa austryacka, która jest babką i blizko pół wieku liczy, ma brzoskwiniową cerę szesnastoletniej panienki. Otóż ta czarująco piękna dama, nie używała nigdy środków kosmetycznych, lecz codziennie, po przebudzeniu, myje się lodowato-zimną wodą i wyciera mokrą skórę flanelowemi chustami.

Spodziewam się, że niejedna czytelniczka będzie mi wdzięczną za udzielenie najlepszego środka, za pomocą którego płeć swoją może piękną i trwałą utrzymać. Zimna woda! Ale na „miłość Wenus", aby nie Goldcrême i temu podobne specyfiki!

Która z moich łaskawych czytelniczek ma czystą, świeżą cerę, niech się stanowczo trzyma zasady: nie dawać się zwodzić reklamowanemi, cudownemi środkami jak esencye, crêmy, balsamy i t. p.

Dla nadania wodzie miękkości wystarcza bardzo niewinny środek: dolanie jednej łyżki mleka. Panie lubiące myć się w pachnącej wodzie, mogą brać kilka kropel eau de Lubin, eau de Cologne, albo też bardzo kosztownej eau de Verveine, którą tylko u Désiré'go w Paryżu niesfałszowaną dostać można.

Sławna swojego czasu Aurora von Königsmark, która się na sekretach tualetowych dobrze znała, myła się między brwiami mydłem, gdyż przez to rozpędza się zmarszczki, jak słusznie utrzymywała.

Małe pryszcze, które się czasem na twarzy pojawiają nienależy smarować tłustemi specyfikami, lecz wytrzeć najlepszym francuzkim, białym koniakiem. Jedynie do ust mogę zalecić użycie Glicerynowego crêmu, usta nabierają naturalną czerwoność, stają się miękkie i nie pękają od wiatru. Jest to lepszy środek od wszelkich karminowych pomadek, które są nieapetyczne, nawet jeżeli są przygotowane z soku chińskich roślin.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

KONKURS.

Tygodnik Głos pomieścił w ostatnim swym numerze 22-im następujące ogłoszenie:

W redakcyi naszego pisma złożono kwit Banku Handlowego na rs. 200, z następującem zawiadomieniem:

„Ogłasza się konkurs na *powiastkę* dla ludu historyczną, lub obyczajową, z kierunkiem obywatelsko społecznym. W obu razach akcya odbywać się winna w sferze naszego ludu wiejskiego i z głównym jego udziałem. Rzecz ma być oryginalna, nigdzie niedrukowana, napisana zajmująco, językiem prostym, zrozumiałym dla ludu, ale literackim. Objętość 3 — 4 arkuszy druku w 16. Za 2 powiastki uznane przez sąd konkursowy za bezwzględnie dobre i odpowiadające warunkom konkursu, przeznacza się z rs. 200 *dwie nagrody* po rs. 100, przy równej wartości powiastek, lub jedna rs. 120, druga rs. 80 przy wartości ich nierównej; poczem bez osobnego wynagrodzenia, zostaną one jednorazowo wydane w Warszawie.

Sąd konkursowy składają: *panowie M. Brzeziński, A. Dygasiński, J. K. Gregorowicz, J. Karłowicz, T. Korzon, S. Norblin, K. Prószyński, A. Pułaski, J. Sawicka* (*Ostoja*), *A. Zakrzewski* i *J. L. Popławski*, jako delegat redakcyi Głosu.

Termin konkursu upływa z dniem 1 Stycznia 1889 roku. Rękopisy wraz z zapieczętowanemi kopertami, zawierającemi wewnątrz nazwisko i adres autora, nadsyłać należy do Redakcyi Głosu.

Na kopertach i rękopisach winny być umieszczone jednakowe godła. Uprasza się pisma polskie o powtórzenie tego zawiadomienia."

WIADOMOŚCI Z RÓŻNYCH STRON.

Warszawa coraz więcej zaczyna się ożywiać. Siedm teatrów i teatrzyków otwiera codziennie podwoje dla spragnionych letnich pod gołem niebem przyjemności. Rozpoczęły się już karkołomne wyścigi, tramwaje nie mogą obsłużyć dostatecznie jadących i wracających z wycieczek za rogatki, szczególniej w niedziele i święta, a zbiorowe majówki różnych korporacyi występują jedna po drugiej, z programem starannie układanym.

Kuryery przebąkują coś o majówce panieńskiej, jeżeli bowiem pod opieką panien w karnawale wydawane bale cieszą się wielkiem powodzeniem, dlaczegóżby „majówka panieńska" nie miała się udać?

A projekt takiej majówki został już ułożony i ściślejszy komitet ma niebawem rozesłać zaproszenia do wielu osób.

Udział w majówce weźmie około 300 osób, a jako miejsce wybrano Jabłonnę. Tam odbędzie się koncert, gry towarzyskie w lesie, fajerwerki, a wreszcie tańce w miejscowej halli.

Dotychczas nie zdecydowano się jeszcze, czy „majówka panieńska" odbędzie się w niedzielę, czy też w dzień powszedni. Gospodyniami wycieczki mają być same panienki, które z grona panów będą dobierać swoich marszałków.

Z Rygi donoszą, że w teatrzyku letnim trupa ruska Łukowicza, przedstawiła Halkę Moniuszki. Teatr zapełniła doborowa publiczność, zwykle nieuczęszczająca do tego przybytku Melpomeny. Recenzent *Rigasche Ztng* tak dziś pisze o „Halce:" Utwór ten był nam zupełnie obcym; wiedzieliśmy tylko, że jest to największe dzieło scenicznej muzyki polskiej, cieszące się wielkiem uznaniem. Wystarczało to, ażebyśmy ze specyalną ciekawością udali się na wczorajszą premierę. Wreszcie na zakończenie pisze: Zrozumieliśmy nietylko całość sztuki, ale i zapał Polaków do dzieła Moniuszki; poznaliśmy, że opera ta bogatą jest w oryginalne w najwyższym stopniu pełne wyrazu melodye, oraz posiada wiele siły dramatycznej; jestto o tyle pociągające i ciekawe dzieło, że należałoby je włączyć do repertuaru naszej opery niemieckiej." W końcu sprawozdawca sympatycznie streszcza libretto opery. Taka bezstronność w pisarzu niemieckim warta jest zaznaczenia.

Deszcz siarczysty. Z Berdyczowa piszą do *Kijewlanina*, że dnia 21-go b. m., o godz. 11-ej z wieczora, przy 10-ciu stopniach ciepła, nagle spadł deszcz ulewny, podczas którego czuć było w powietrzu woń siarki. Jakoż rozbiór wody deszczowéj przekonał, iż znajdowała się w niej siarka w postaci proszku.

Słowiańskie Towarzystwo Dobroczynności. Dzienniki petersburskie piszą, że Towarzystwo Dobroczynności Słowiańskiej wysłało dla Czechów kolonistów w gub. Wołyńskiej różne wydawnictwa ruskie, tudzież przygotowuje przekład czeski prawosławnych ksiąg religijnych.

Według najświeższej mody w Paryżu wielkie biesiady nie odbywają się już przy dużych stołach. Jadalnia zastawiona jast małemi stolikami na cztery, sześć, a najwyżej na ośm osób, z których każdy ozdobiony jest innym gatunkiem kwiatów, różami, fiołkami, konwalią i t. p. Lokaj przed rozpoczęciem biesiady wręcza zaproszonym gościom, takie same kwiaty, jakiemi przybrany jest stolik, przy którym gospodyni przeznaczyła im miejsce. Trudno modzie tej odmówić pewnej racyonalności; oczywiście łatwiej jest zawiązać rozmowę zajmującą w małem kółku, niż siedząc przy stole w kilkadziesiąt osób; gospodyni domu tylko taki obiad przy małych stolikach wydany, przysparza więcej kłopotu pod względem obsługi.

Parasole „Carnot." Pewien paryski fabrykant parasoli, wynalazł nowy ich rodzaj w kształ-

cie pawilonów chińskich i chciał je ochrzcić nazwą „parasoli Carnot" na cześć pani prezydentowej Rzeczypospolitej. Gdy fabrykant podał odpowiednią próbę do prezydenta, p. Carnot przedewszystkiem zapytał go o cenę tych parasoli. „Sto dwadzieścia franków", — brzmiała odpowiedź. — „Nie pozwalam", — rzekł po chwili namysłu prezydent, — „aby te parasole nosiły nazwisko mojej żony, gdyż nie chcę by cały legion ojców i małżonków miał sposobność narzekania na kosztowną nowość, której patronką byłaby pani Carnot".

Powozy konfirmacyjne są najświeższą nowością w Paryżu. Przeznaczone dla młodych dziewcząt, udających się do pierwszej komunii, wybite są białym atłasem, zaprzężone w białe zupełnie konie i białemi kwiatami przybrane. Oczywiście na taki zbytek mogą sobie tylko pozwolić ludzie bogaci, albowiem wynajęcie „powozu konfirmacyjnego" na cały dzień kosztuje 100 franków.

W Paryżu, w stolicy świata i mody, damy należące do śmietanki towarzyskiej, ogarnęła mania hodowania rzadkich okazów świata zwierzęcego. Należy to do szyku w najlepszym gatunku.

I pomiędzy naszemi paniami znalazły się już naśladowczynie tego bezmyślnego dziwactwa. Jedna z takich sprowadziła sobie... kameleona z berlińskiego zwierzyńca, opłaciwszy go sowicie.

Jaszczurkę tę pani owa trzyma w futrzanych powijakach, bo zwierzątko nieprzyzwyczajone do naszego klimatu, wciąż drży z zimna.

Rzadko kiedy się tylko wysuwa z olbrzymiego klosza, gdzie ma pełno roślinności, imitujących podzwrotnikowe sfery.

Mimo starannej opieki, jaszczurka prawdopodobnie nie pożyje długo...

Tak więc początek zrobiony i wkrótce może nasze panie będą prowadzić ze sobą na spacery zamiast mopsów — krokodyle lub małe tygrysiątka, jak słynna Sara Bernhard.

Przed kilku dniami kuryery doniosły o pewnej pannie, która rozchorowała się przez... pończoszki, a dziś znowu donoszą nam o podobnym wypadku.

P. L., stały mieszkaniec Warszawy, powróciwszy niedawno z Krakowa, przywiózł z sobą kapelusz pochodzenia wiedeńskiego.

Po kilku dniach noszenia kapelusza, na czole p. L. uformowały się krosty, a następnie poczęły się otwierać rany.

Zawezwany lekarz skonstantował zatrucie krwi, spowodowane użytą do podszycia kapelusza skórką, która zaprawiona była szkodliwym barwnikiem.

Ostrożnie zatem z wyrobami zagranicznemi, zwłaszcza kupowanemi w mniej znanych z rzetelności sklepach.

Pod koniec miesiąca marca r. b. odbył się w Waszyngtonie między narodowy kongres kobiecy, w którym wzięło udział około 3,000 delegatek z Ameryki, a nawet z wielu krajów europejskich.

Treść przemowy przewodniczącej kongresu była następująca:

Przed laty 150 kobiety wyłączone były od wszelkich zawodów publicznych, a nawet od pracy w przemyśle.

Obecnie mieszka w Ameryce przeszło 2,000 kobiet, posiadających dyplomaty doktorów medycyny, kilkaset adwokatek, a nawet jedno z najlepszych pism prawnych w Chicago, wychodzi pod redakcyją kobiety; kobiety są dalej profesorami uniwersytetów astronomii, literatkami.

Tysiące kobiet redagują pisma publiczne: w samym Nowym Yorku pracuje około 200 dziennikarek.

Szkołami publicznemi kierują przeważnie kobiety, a liczba nauczycielek dosięga poważnej cyfry 100,000.

Prócz tego kobiety są wybornemi buchalterkami w pierwszorzędnych zakładach przemysłowych, w fabrykach i t. d.

W departamentach administracyjnych jest 2,000 do 3,000 urzędników kobiet, pobierających od 700 do 3,000 dolarów rocznej pensyi.

W dwóch terytoryach i w jednem Stanie kobiety posiadają prawo głosu przy wyborach; w wielu miastach są wyborczyniami do rad municypalnych, a w mieście Oskalosa, w stanie Kanzas, cały zarząd miasta na mocy wyborców przeszedł w ręce kobiet.

Przewodnicząca wspomnianego kongresu oświadczyła, że emancypacya kobiet od lat 25 postępuje olbrzymim krokiem naprzód.

Czy tylko nie zanadto prędko?

Polska dzielnica w Berlinie. W stolicy nadsprejskiej, w pobliżu dworca „szląskiego", wytworzyła się polska dzielnica robotnicza. Na zewnątrz wyróżnia się ona polskiemi szyldami. Tak np. na ulicy Madaja, niedaleko Fruchtstrasse, widnieje tam napis: „Warszawska fabryka kiełbas". Gdzieindziej, na oknie wystawowem można czytać: „Fabryka kiełbas polskich Marjana z Warszawy". Wszystkie te zakłady znajdują licznych konsumentów wśród robotników, których niemało przebywa w Berlinie.

Z życia w Texas. Rabowanie pasażerów w poczcie i pociągach kolejowych stoi w Texas na porządku dziennym, a włóczęgów i rozbójników jest tam bez liku. W ubiegłym tygodniu jeden z takich Rinaldinich zatrzymał jadącą karetę pocztową, kazał wszystkim pasażerom wysiąść, ustawić się szeregiem, a gdy ci z obawy przed skierowaną ku nim lufą strzelby usłuchali rozkazu, zarzucił każdemu kaptur na głowę i odebrał im całą gotówkę. Skończywszy to miłe zajęcie pozwolił im zrzucić kaptury, dał każdemu po 50 centów, żeby sobie mógł na następnej stacyi kupić obiad i ofiarował na pamiątkę jednej z młodych pasażerek wiązankę kwiatów polnych, którą miał u kapelusza. Panna, prawdziwa córa Texasu, poprosiła rozbójnika-galanta o autograf, a on niezwocznie wyjął notatnik, wydarł z niego kartkę i napisał: „Niniejszem zaświadczam, że wszyscy jesteście uczciwi panowie i panie, ale źle uzbrojeni i nieprzygotowani na rabunek. Z szacunkiem †††, łupieżca pocztowy z Texas." Poczem dał łaskawie znak i poczta mogła odjechać. Miłe stosunki.

Milionowy proces toczył się w ubiegłym tygodniu w Paryżu; wyrok zaś ogłoszony będzie za dni czternaście. Księżna Sturdza zmarła w roku 1885 w Baden-Baden i pozostawiła majątek wynoszący ośmdziesiąt milionów, z których jednak znaleziono tylko czterdzieści. Syn zmarłej, książę Grzegorz Sturdza, jenerał i senator rumuński oskarżył zamężną siostrę swoją, która była sama jedna u łoża śmierci matki, iż przywłaszczyła sobie część majątku, okupiwszy milczenie drugiego brata, Dymitrego Sturdza trzema, czy czterema milionami. Matka, według zeznania skarżącego, miała zwyczaj chowania papierów wartościowych w worku, który nosiła przymocowany do paska. Kamerdyner i pokojowa świadczą przeciw oskarżonej przez brata księżnej i nadto utrzymują iż kazała ona po-ajemnie z Paryża sprowadzić ślusarza, aby otworzył kasę z pieniędzmi.

W Berlinie ma być otwarta szkoła obcych języków na wzór szkół amerykańskich. Lekcye w tej szkole udzielane będą według systemu Berlitza, opierającego się na uczeniu obcych języków w ten sam sposób, w jaki dzieci uczą się ojczystego języka. Główną zasadą metody Berlitza jest ta, że nauczyciel uczy języka obcego bez pomocy ojczystego.

W szkole takiej wcale nie tłomaczą, owszem od pierwszej lekcyi nauczyciel wykłada w języku, którego uczniowie mają się nauczyć.

Metoda taka przynosi tę korzyść, że uczeń już od pierwszej chwili przyzwyczaja się myśléć w języku obcym.

Oprócz lekcyi czytania i pisania, uczeń już na pierwszej lekcyi ćwiczy się w wymawianiu wyrazów obcych.

Sposób ten wywołał w Stanach Zjednoczonych olbrzymi przewrót w uczeniu obcych języków, a instytucye „Berlitz Schools of Languages" rozpowszechniły się we wszystkich tamtejszych wielkich miastach.

W szkołach takich w Nowym Yorku, Brooklynie, Bostonie, Filadelfii i Waszyngtonie, uczy się obecnie języków: niemieckiego, francuzkiego i włoskiego więcej niż 2,000 uczniów.

Szkoła ta ma oddziały zastosowane do ich wieku, wynoszącego od lat 6 do 60 i do ich stanowiska w społeczeństwie.

Jeden z kupców pisząc do narzeczonej, bawiącej w wodach leczniczych, tak zakończył swoje pismo:

Przyjmij moja droga Basiu na pożegnanie tysiąc całusów, od kochającego cię J. N. Zelaskiego wdowca i spółka.

* * *

— Czy Józef Iksakowski krewny jest pański? czy tylko imiennik?

— Krewny, kochany panie, krewny, ale bardzo daleki, bo dzieli nas między sobą sześcioro rodzeństwa.

* * *

Pewien autor dramatyczny otrzymuje następujący list od pięknej kobiety, o której względy bardzo mu chodzi: „Kochany panie zrobisz mi wielką przyjemność, ofiarując lożę do teatru, gdzie grają obecnie śliczną pańską sztukę, lub też do jakiegokolwiek innego teatru, to mi wszystko jedno."

* * *

Fachowe zapytanie. — Podobno Bóg dał wam syna? — pyta rzeźniczka piekarki — powinszować.

— Nie ma czego, takie to małe, wątłe, po urodzeniu nie ważyło więcej jak pięć funtów.

— Z kośćmi? — zapytuje rzeźniczka.

* * *

Przed kilku tygodniami doniosły kuryery o zerwaniu zamierzonego małżeństwa prawie w osta-

niej chwili, gdy orszak weselny miał wyruszyć z Tamki do kościoła. Narzeczony oparł się wówczas kategorycznemu żądaniu narzeczonej, która chciała koniecznie jechać do ślubu karetą.

Małżeństwo więc rozchwiało się, bez nadziei nawiązania. Tymczasem stało się inaczej i rozkochany robotnik po kilku dniach spokorniał. Narzeczona dała się przeprosić, lecz nadmieniła:

— Kareta musi być, inaczej nie pojadę!

Młodzieniec ustąpił i w tych dniach odbył się ślub tej pary.

Zdaje się, że do legionu pantoflarzy przybył jeszcze jeden.

* * *

— Teraz chłopcy proszę uważać — powiada podoficer na lekcyi instrukcyi — będę wam tłomaczył wszelkie rodzaje śmierci, zachodzące w wojsku, żebyście wiedzieli czego w danym razie macie się spodziewać.

— Najpierw więc pamiętajcie, że śmierć na polu bitwy! to jest pyszna śmierć i każdy z was powinien się cieszyć, jeżeli mu wogóle dozwolonem będzie umrzeć taką śmiercią. Następnie idzie śmierć w garnizonie. I to jest wcale miła śmierć. Wyniosą was na cmentarz wojskowy a koledzy trzykrotną dadzą salwę nad waszym grobem. Jest to bardzo pochlebne i taka śmierć jest więc wogóle bardzo do życzenia. Trzeci zaś rodzaj śmierci jest bardzo naganny i właściwie niepowinienby być wcale dozwolony. Chcę tu mówić o śmierci na urlopie. Wówczas we wsi waszej rodzinnej zostajecie najzwyczajniej wpakowani pod ziemię jak każdy inny cywilista. Śmierć ta jest zupełnie niegodną żołnierza. Jest to śmierć, jakże właściwie mam tu powiedzieć? Jest to właściwie wogóle tak dobrze jak gdyby człowiek wcale nie umarł.

* * *

— Czy widziałeś ostatni portret namalowany przez Iksickiego?

— Widziałem i już coś szósty czy dziesiąty raz przekonałem się że nietęgi z niego strzelec.

— Jakto, strzelec?

— Naturalnie, bo nikogo jeszcze nie trafił.

RÓŻNE MYŚLI.

Największe prawdy są często najprostsze.

Malesherbez.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyj nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc śpieszniejszego wykonania objawionego żądania.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

OD REDAKCYI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami, przypominamy zatem Szanownym Prenumeratorom, że czas już jest ponowić prenumeratę.

Cena prenumeraty wynosi: W Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. Na prowincyi z przesyłką pocztową: kwartalnie rs. 2 kop. 50; półrocznie rs. 5; rocznie rs. 10.

PRZYJACIEL DZIECI.

Pismo illustrowane dla młodzieży i małej dziatwy,

wychodzić będzie i w kwartale przyszłym pod temi samemi co dotąd warunkami.

Cena prenumeraty wynosi: W Warszawie Kwartalnie rs. **1**. Na prowincyi z przesyłką pocztową: Kwartalnie rs. **1** kop. **25**. Półocznie rs. **2** kop. **50**. Rocznie rs. **5**.

Adres: **J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Chmielna Nr. 26 nowy.**

TREŚĆ: Odila, legenda alzacka. — Zazdrość (wiersz). — Stare gniazdo (humoreska). — Słówko o brzuchomówstwie. — Wola, przez Jerzego Ohnet'a, przekład Bronisławy Kowalskiej (dalszy ciąg). — Wskazówki umiejętnego ubierania się. — Konkurs. — Wiadomości z różnych stron. W Dodatku: Klementyna de la Fresnaye (ark. 10).

Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Мая 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.